

Marcin Radwański
Natalia Carpetieri



Marcin Radwański

Natalia Carpetieri

Copyright © Marcin Radwański

ISBN 978-83-7859-879-4

Rok wydania: 2018

Projekt okładki:

Skład: Ilona Dobijańska

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów
w artykułach i recenzjach – możliwe tylko za zgodą wydawcy.

„stałaś naga czekając na wniebowzięcie
ja obnażony stałem przed tobą
czekając na wieczne potępienie”

fragment wiersza
„Dzień po stworzeniu kobiety” Roberta Rudiaka

Rozdział 1

Od dwóch miesięcy pracowałem w antykwariacie, który oferował do sprzedaży głównie stare meble i mieścił się przy ulicy Niepodległości. Pracę tę załatwił mi znajomy, który znał właściciela.

Byłem wtedy w dość trudnej sytuacji finansowej. Od jakiegoś czasu zalegałem za czynsz, a rodzice powiadomili mnie, że już nie będą na mnie łożyć. Stwierdzili, że w moim wieku powinienem sam zacząć się o to troszczyć. Czego jednak mogłem się po nich spodziewać? Zawiodłem ich. To proste i zrozumiałe. Cieszyłem się nawet, że mieszkają tak daleko. Nie śledzą moich poczynąń, a ja z kolei nie muszę znosić ich złowieszczych spojrzeń.

Miałem niewielkie oszczędności, które szybko się kończyły. Podczas jednej z nocy spędzonej w klubie poznałem pewnego mężczyznę. Postawił mi dwie setki czystej wódki i poczęstował papierosem. Był znacznie starszy ode mnie

i nie wypadało odmawiać. Do trzeciej nad ranem opowiadał mi o swojej pracy. Handlował poliuretanami po całej Europie. Mało z tego wszystkiego rozumiałem, ale potakiwałem znacząco i udawałem że słucham. W końcu wspomniał o swoim wujku, który prowadzi sklep ze starociami i boryka się z bólem kręgosłupa. Zaproponował mi pracę. Zgodziłem się od razu, a on kazał stawic mi się tam w poniedziałek. Do tej pory, wszystko miało być uzgodnione.

Spodobałem się staruszkowi i dostałem tę posadę po kilku minutach rozmowy. Nie było to nic wielkiego. Zajmowałem się prostymi pracami renowacyjnymi. Układaniem mebli, przenoszeniem ich z jednego miejsca na drugie i czasami transportem do klienta. Odpowiadało mi to bardzo. Nie musiałem zbyt dużo myśleć, a lekka praca fizyczna sprawiała, że po ośmiu godzinach byłem pełen energii i zapału do kontynuowania pracy nad swoją powieścią. Nosiła tytuł „Nie odrzucaj mnie” i była kryminałem w stylu skandynawskim. Tworzyłem ją już od kilku miesięcy, ale robiłem to dość wyrывkowo. Teraz natomiast, po podjęciu pracy, moje życie nabrało stabilizacji i zajmowałem się nią każdego wieczoru.

Były to raczej noce. Długie, nieprzespane i pełne nerwów. Niejednokrotnie raczyłem się podczas nich tanim alkoholem, próbując nadrobić braki warsztatowe i goniąc uciekającą wciąż wenę. Pomimo wszystko, powieść posu-

wała się do przodu i miałem przed swoimi oczyma jej koniec. Właśnie widok tego horyzontu, dodawał mi otuchy i był niczym ojcowskie ramię, na którym mogłem się podeprzeć i podążać dalej.

Z tego wszystkiego najgorszy był zawsze kac, jaki dopadał mnie z rana. Byłem zazwyczaj niewyspany, bolała mnie głowa i spóźniałem się na otwarcie antykwariatu. Pan Henryk był jednak wyrozumiały, szczególnie po moim wyznaniu, w którym opowiedziałem mu o swojej walce z bezsennością. Dumnie stwierdził, że z tą chorobą zmagali się najwięksi pisarze tego świata. Chyba dobrze mnie zrozumiał, bo od tej pory przymykał oko na moje niedociągnięcia.

Zbliżał się pierwszy kwartał mojej pracy, a przy okazji nadchodziła właśnie wiosna. Tęskniłem za słońcem w ciągu dnia, gdy można było wygrzać twarz w jego promieniach. Parkowymi ławkami, na których można było przysiąść i zapalić papierosa. Widokiem kobiet ubranych w spódnice, mieniące się kwiatami. Budzącą się z zimowego letargu Zieloną Górą, którą kochałem coraz mocniej.

Cieszyłem się też z tego, co zapowiedział mi właściciel. Po podliczeniu zysków, obiecał mi w ciągu najbliższych tygodni podwyżkę i niewielką premię. Zdziwiłem się bardzo, bo nie zauważyłem zwiększonej sprzedaży w sklepie, a klientów było wręcz jak na lekarstwo. Być może jednak,

działo się coś, czego nie widziałem, bądź nie mogłem widzieć. Coś, poza moim zasięgiem.

Jednego ze słonecznych poranków, do antykwariatu weszła zdecydowanym krokiem nieznajoma mi kobieta. Szlifowałem wtedy nogi fotela, przeznaczonego do renowacji. Przerwałem dopiero wtedy, gdy usłyszałem jej spokojny głos zwracający się do właściciela. Wstałem z kłęczek i spojrzałem w kierunku lady. Stała odwrócona tyłem do mnie. Jej sylwetka była dość drobna i krucha. Ubrana w lekką spódnicę w kolorze khaki, płócienny kapelusz, gestykulowała intensywnie przy rozmowie. Wtedy właśnie zwróciłem uwagę na jej buty. Były to skórzane, kowbojskie kozaki w kolorze czerwonym. Zaintrygował mnie ten widok i miałem ochotę podejść do niej, jednak w tym momencie wydało mi się to nie na miejscu. Wróciłem więc do swojej pracy, ale ukradkiem, wciąż obserwowałem rozwijającą się sytuację

Rozmowa nie trwała zbyt długo, a ja choć bardzo się starałem, nie usłyszałem jej szczegółów. Skutecznie przeszkadzał mi w tym uliczny hałas, dochodzący zza uchylonych drzwi.

Gdy kobieta skończyła dyskutować, wyciągnęła z torby portfel i wręczyła mojemu pracodawcy gruby zwitek banknotów. Ten uklonił się nisko w podziękowaniu i potwierdzająco pokiwał głową. Po tym, odwróciła się i szybko

skierowała ku wyjściu. Wychyliłem głowę, chcąc zobaczyć jej oblicze, ale dostrzegłem tylko ściśnięte usta i wielkie przeciwsłoneczne okulary, które miała zawieszona na wąskim nosie.

Podczas przerwy obiadowej, gdy jedliśmy kanapki, wspomniałem o niej. Okazało się, że nazywa się Natalia Carpetieri i jest żoną bogatego biznesmena, która czasami zamawia u staruszka antyki. Wyczułem, że nie chciał o niej rozmawiać. Domyślałem się, że coś przede mną ukrywa i nie drażyłem tematu. Nie chciałem być wścibski, choć bardzo chciałem dowiedzieć się czegoś więcej.

Okazja nadarzyła się dość szybko. Kilka dni później, dostałem polecenie zawiezienia kilku szczelnie owiniętych białym płótnem mebli dla pani Carpetieri. Pan Henryk wręczył mi kartkę z adresem i dodał, żeby bardzo ostrożnie obchodzić się z ładunkiem.

Nie pytałem o szczegóły. Byłem podniecony zadaniem i możliwością spotkania. Chciałem zobaczyć jak mieszka i zamienić z nią choć kilka zdań. To wszystko spowodowało, że poczułem ekscytację, jakiej się po sobie nie spodziewałem.

Jazda zajęła mi około pół godziny. Musiałem wyjechać z miasta, a później kilka minut straciłem krążąc wśród wąskich uliczek przedmieść.

Posiadłość była otoczona płotem, gdzie rozrastały się

krzewy, zapewniając tak pożądaną wśród zamożnych osób prywatnością. Zadzwoiłem przy bramie, która po chwili otworzyła się samoczynnie. Wjechałem na długi podjazd, parkując w pewnym oddaleniu od głównych drzwi.

Parterowy dom, o białej elewacji rozrastał się w dwóch kierunkach, na kształt litery L. W oddaleniu zauważyłem ogród, a pośród niego nie napełniony wodą basen. Wyglądał na opuszczony i zaniedbany. Dostrzegłem też, że trawnik, który prowadził wzdłuż podjazdu nie był przycięty i wyrastały w nim kępy chwastów.

Wyszedłem z samochodu i podszedłem do wejścia. Na ciemnych, drewnianych drzwiach znajdowała się staroświecka kołatka w kształcie lwa. Rozglądałem się za dzwonkiem, ale końcu zapukałem najmocniej jak mogłem. Usłyszałem, jak w środku rozległ się pusty dźwięk. Stałem kilka minut w oczekiwaniu, ale nikt się nie pojawił. Nie wiedziałem co mam robić. Złapałem mosiężną klamkę i wszedłem do środka.

Hol był obszerny, ale wszędzie raziła mnie surowa biel ścian i brak mebli. Podłoga wyłożona była czarno-białą mozaiką, która przypominała szachownicę. Nigdzie nie zauważyłem lustra, wieszaka, czy szafki na buty. Po prawej stronie znajdował się korytarz i skierowałem się w tym kierunku. Po drodze minąłem kilka ościennych pomieszczeń. Tylko w kilku z nich stały meble, które były szczególnie

okryte były białym płótnem. Dom wyglądał na pusty i niezamieszkały. Zza wysokich okien wyglądał na mnie ogród, porośnięty zupełnie przypadkowymi kwiatami.

Doszedłem do głównego pokoju, który znajdował się na samym końcu budynku. Drzwi były zamknięte, ale usłyszałem dobiegającą z jego wnętrza muzykę. Zatrzymałem się przez moment, nasłuchując. Piosenka była śpiewana po francusku. Wzięłem głęboki oddech i zapukałem.

Otworzyła mi ubrana w jedwabny, biały szlafrok. Spojrzałem na jej w szczupłą i podłużną twarz naznaczoną dużą ilością piegów. Miała krótko przyciętą blond grzywkę i oczy w niebieskim kolorze. Wydała mi się przyjazna, choć na jej ustach pojawił się grymas obojętności. Poczułem, że nie jestem tu szczególnie mile widziany.

Odchyliła drzwi szerzej i odezwała się z dziwnym akcentem.

–Proszę wejść i się rozgościć.

Zrobiłem niepewnie kilka kroków. W tym czasie zniknęła w łazience, do której prowadziły drzwi, znajdujące się na lewo od wejścia. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte roletami. Gdyby nie zapalone lampy, panowałby tu całkowity zmrok. Stałem na środku, rozglądając się wokół. W tle wciąż grała muzyka z gramofonu, który stał na podłodze.

Pomieszczenie było dość obszerne, pomalowane jak

cały dom na białe i słabo umeblowane. Podwójne łóżko z baldachimem, nocny stolik, lampy i barek na kółkach. To wszystko sprawiało wrażenie tymczasowego zamieszkiwania, jak gdyby właścicielka szykowała się do wyprowadzki.

Przykucnąłem w roku łóżka. Sięgnąłem i wziąłem do ręki książkę, która leżała na stoliku. Nosila tytuł „Przejechał cyrk”. W tym momencie pani Carpetieri wyłoniła się z łazienki.

– Czego pan się napije? Może szklankę soku? A może coś mocniejszego? – zapytała tym razem roześmiana, spoglądając w moją stronę.

Wciąż ubrana była tak samo, jak przy powitaniu. Jej ruchy były zamaszyste i zastanawiałem się, czy nie jest czasem pijana.

Stała obok mnie i wyciągnęła prawą nogę. Oparła ją na łóżku. Nie przejmowała się zupełnie tym, że rozchylił się jej szlafrok, spod którego wyłonił się widok czerwonej bielizny. Próbowalem przybrać obojętną minę, jakby mnie to zupełnie nie poruszyło. Zwróciłem wzrok z powrotem na książkę, którą miałem w rękach.

– Jeśli można, to wolałbym wodę – odparłem spokojnie.

Odwróciła się zdecydowanie i stanęła przy barku. Naładowała do jednej szklanki wodę, natomiast drugą do połowy napełniała whisky. Patrzyłem na jej sylwetkę, przypominając sobie chwilę, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy w an-

tykwariacie. Wydała mi się tak samo delikatna, ale o wiele bardziej pociągająca. Jej smukłe ciało prześwitywało przez szlafrok. Czułem pożądanie i fascynację. Wydawało mi się, że śnie, siedząc w jej sypialni, na jej łóżku i rozmawiając z nią.

– Mam nadzieję, że przywiózł pan moje zamówienie w idealnym stanie? – odezwała się z wyniosłością w głosie – Często mam problemy z kurierami i dostawcami. Ich nierzetelność irytuje mnie czasami do wprost niewyobrażalnego poziomu. Nie lubię ludzi nieodpowiedzialnych – stwierdziła, podając mi szklankę. – Jest pan osobą odpowiedzialną?

Spojrzałem jej w oczy, ale po krótkiej chwili spuściłem wzrok. Nie mogłem wytrzymać spojrzenia jej niebieskich oczu, w których mieniły się jednocześnie litość, obojętność, strach i pustka, którą czułem już przy samym wejściu do tego domu.

– Nic nie zostało uszkodzone. Pan Henryk poinformował mnie o tym, że jest pani wymagająca pod tym względem. Traktuję zresztą tak wszystkich naszych klientów – dodałem, robiąc kilka łyków wody.

Wyglądało na to, że jest usatysfakcjonowana moją odpowiedzią, ponieważ znów się roześmiała i przybrała bardziej przyjazny wyraz twarzy. Usiadła u podnóża łóżka. Milczała przez dłuższą chwilę. Zastanawiałem się, czy to

już nie koniec mojej wizyty. Odłożyłem bez słów książkę z powrotem na stolik i odwróciłem w jej kierunku.

Zobaczyłem jak wypija jednym haustem drinka, którego cały czas trzymała w ręce. Nagle odchyliła się i położyła w poprzek. Wyciągnęła prawą rękę i poklepała mnie po udzie.

– Wygląda pan na miłego i roztropnego młodzieńca. Przypomina mi pan mojego młodszego brata. Szkoda, że nie ma go tutaj. Z chęcią bym was ze sobą poznała. To by było fantastyczne.

Poczułem skrępowanie. Zrobiło mi się gorąco i czułem że płonę. Z jednej strony ta kobieta wzbudzała we mnie wielkie zainteresowanie, z drugiej wydawała mi się bardzo tajemnicza, zbyt bezpośrednia i pełna emocji, których nie rozumiałem.

– Pójdę wypakować meble. Mam wstawić je do konkretnego pokoju? – powiedziałem, wstając na nogi i odkładając szklankę.

Podniosła się z impetem, budząc się ze stanu letargu.

– Proszę się nie trudzić i wstawić je wszystkie razem do holu. Będę jednak miała dla pana jeszcze dodatkowe zadanie, jeżeli pan oczywiście się na to zgodzi.

Stałem przy drzwiach i bałem się tego, co powie dalej. Nie bardzo rozumiałem, czego ode mnie oczekuje.

– Zrobię wszystko, czego pani sobie życzy – wymówi-

łem wbrew wszystkiemu co czułem.

Wstała z łóżka i ponownie podeszła do barku. Zachwiała się przez moment i sprawiała wrażenie już mocno pijanej.

– Będę pana potrzebować dzisiaj, około godziny dwudziestej drugiej. Proszę wtedy przyjechać. Teraz muszę się już położyć.

Nie odpowiedziałem, tylko wymusknąłem się szybko z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zmierzałem ku wyjściu, gnany sprzecznymi uczuciami. Byłem oszołomiony i chciałem wydostać się na świeże powietrze, żeby odechnąć. Wciąż otaczał mnie zapach jej ciała i muzyka, która huczała mi w głowie.

Wyszedłem na dwór i stojąc wciąż na schodach oddychałem głęboko. Nie sądziłem, że kiedykolwiek spotkam się z sytuacją, w której nie będę umiał się zachować. Byłem jeszcze młody, ale wydawało mi się, że widziałem już sporo i nic nie wyprowadzi mnie z równowagi. Myliłem się zupełnie.

Ten tajemniczy, szczelnie owinięty ładunek, ogromna, ale zaniedbana posiadłość, w której prawie w ogóle nie było mebli i kobieta. Natalia Carpetieri, dojrzała mężatka, mówiąca z dziwnym akcentem, pełna jednocześnie złości i serdeczności, smutku i strachu. To wszystko czuło się przebywając w jej obecności. Była to mieszkanka tak

różnorodna i niespotykana, ale równocześnie wzbudzająca ogromną ciekawość.

Czułem przy niej pożądanie, jak do atrakcyjnej kobiety w średnim wieku, ale niekiedy to uczucie zastępowało doznanie troski i opiekuńczości.

Nie wiem dlaczego, wracając do antykwariatu, myślałem o swojej matce i ojcu. Przypomniałem sobie sobotnie wyprawy na ryby, wspólne pikniki i wczasy, które najczęściej spędzaliśmy nad Bałtykiem. Kolorowe parawany wbite w gorący piasek, zimne fale i smażony dorsz jedzony na obiad. Wieczorem gofry, włoskie lody i spacer w zachodzącym słońcu.

W tamtych chwilach uczucie spływało na mnie, niczym na małego króla miłości, którym wtedy naprawdę byłem. Nie wyobrażałem sobie, że może istnieć inne życie, że może być inaczej. Mój świat to były ręce matki i zawsze nieogolona twarz ojca. Sądziłem, że tak będzie już przez całą wieczność.

To, co działo się teraz było tego zaprzeczeniem. To nie była dorosłość i dojrzałość. Stałem się dla nich obojętny, niczym stara kopia obrazu Van Gogha wisząca nad kuchennym stołem. Zrobiłem coś, co całkowicie przekreśliło moją tożsamość w rodzinie. Wybrałem drogę, której nie chcieli zaakceptować i nie mogli się z tym pogodzić. To stało się ważniejsze niż więź, która od zawsze nas łączy-

ła. Wspólna niechęć narastała, proporcjonalnie do upływu czasu. Starałem przypomnieć sobie, kiedy ostatnio ze sobą rozmawialiśmy. Nie mogłem jednak wydobyć z pamięci tego faktu.

Poszukiwałem czegoś, kłębka niewidocznej nici, która mogłaby mnie przywiązać i która pozwoliłaby nadać po-
nownie sensu mojemu życiu. Na razie jedyną taką rzeczą była powieść, z którą wiązałem swoją przyszłość. Była to jednak dość nieznana i niepewna perspektywa, z czego bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę. Na razie byłem jak ślepiec, który porusza się tylko za pomocą swojej białej laski. Przede mną była przestrzeń, o której nic nie wiedziałem.

Do końca dniówki zajmowałem się renowacją sofy, która była w dość opłakanym stanie. Po moich staraniach miała pojechać jeszcze do stolarza, który z nami współpracował i miał swój zakład przy ulicy Żeromskiego. Poznałem go już wcześniej i wiedziałem w jakim stanie najlepiej oddać mu mebel. Starałem odpędzić od siebie wszystkie myśli i skupić się na monotonnej pracy, ale zupełnie mi się to nie udawało. Wciąż zastanawiałem się, co zrobię dzisiajszego wieczoru przed godziną dwudziestą drugą. Ta myśl powracała do mnie, niczym zacięta płyta w gramofonie. Zapomniałem nawet o zjedzeniu obiadu, a mój szef dwa razy pytał, czy dobrze się czuję.

Krótko po osiemnastej zakończyłem pracę i udałem się do swojego mieszkania przy Placu Matejki. Po drodze zrobiłem niewielkie zakupy i wdrapałem się na piętro krętymi schodami. Po wejściu odczułem ogromne zmęczenie i w ubraniu położyłem się na materacu, który służył mi za łóżko. Po kilku minutach zasnąłem.

Obudziłem się z uczuciem niepokoju, który ścisnął mi serce. Leżałem dłuższą chwilę oddychając spokojnie i wpatrując się w sufit, na którym zawieszona była żarówka, pozbawiona abażuru. Wstałem i powoli poszedłem do łazienki. Przemyłem twarz zimną wodą, cucąc się obficie. Spojrzałem na swoje odbicie i uśmiechnąłem. Czyżbym bał się tej kobiety? - myślałem i poprawiałem włosy, które odkąd skończyłem siedemnaście lat, zawsze zaczesywałem na lewą stronę.

Wracając do pokoju, potrąciłem nogą torbę z zakupami, której nie zdążyłem wypakować przed zaśnięciem. Wyłożyłem chleb na stolik kawiarniany, który służył mi za jadalnię. Z zakupionych jaj zrobiłem sobie jajecznicę, dodając pod koniec smażenia odrobinę mleka. Było to danie, które przyrządzałem najczęściej. Smakowało mi o każdej porze dnia i było dla mnie bez znaczenia, czy jem je na śniadanie, obiad, czy kolację.

Później skręciłem sobie papierosa z tytoniu, który kupowałem od znajomego i przysiadłem na parapecie. Uchy-

liłem okno i wpatrywałem się w spacerujących mieszkańców, którzy o tej porze, po ciężko przepracowanym dniu, zmierzali do swoich domostw.

Oglądałem przygarbione sylwetki, ściskające siatki z warzywami, o ciemnych twarzach bez wyrazu, niosące swój życiowy los. Grube kobiety, a przy nich gromady rozwrzeszczanych dzieciaków, o rysach nie do końca słowiańskich. W końcu też blondynki poprawiające makijaż w luksusowych samochodach, zatrzymujące się tutaj tylko przez kilka chwil.

Ktoś z chodnika pomachał do mnie i krzyknął „Cześć”. Nie mogłem rozpoznać kto, ale odpowiedziałem również wywijając ręką. Byłem przekonany, że to pewnie jakiś dzieciak, lub sąsiad z parteru, z którym od czasu do czasu piłem wódkę.

Zastanawiałem się, co zrobię przed umówioną godziną. Czy zdobędę się na to, żeby udać się do tego tajemniczego domu i spotkać się z jej właścicielką? Czego właściwie ona ode mnie oczekuje?

Wątpliwości nie dawały mi spokoju przez cały wieczór, choć próbowałem skupić się na kontynuowaniu pracy nad powieścią.

Na dworze zapadł zmierz. Siedziałem w blasku księżyca, wpatrując się w niebo za oknem. Na zegarku wybiła 21:30, a ja nadal nie podjąłem decyzji, co robić.